

Umyslna sprośność a twórcza wyobraźnia: Czy pornografia powinna podlegać cenzurze?

*Formuła rządu najbardziej odpowiadająca artyście
to brak rządu.*

Oskar Wilde

Pornografia w literaturze i sztuce pojawiała się w każdej epoce historycznej i we wszystkich społeczeństwach. Jedyne, co zmieniało się w różnych okresach albo nawet tylko w obrębie dziesięcioleci, to stopień jej jawności i dopuszczalności zgodnej z prawem. W społeczeństwach elitarnych, co zakrawa na paradoks, jest mniejsze zapotrzebowanie na cenzurę niż w społeczeństwach demokratycznych, a to dlatego, że społeczeństwa elitarne de facto funkcjonują jako cenzura, trzymając pewne materiały z dala od plebsu. Im większa demokracja, tym częstsze głosy domagające się prawnej kontroli nad materiałami pornograficznymi, skatologicznymi czy erotycznymi. Wiek dwudziesty doskonale obrazuje zmiany publicznych gustów w tym zakresie. Zaczęliśmy od wyklecia D.H. Lawrence'a, Jamesa Joyce'a, Radclyffe'a Halla, Henry'ego Millera oraz innych jeszcze awangardowych artystów z początku

wieku, by przejść w latach pięćdziesiątych do zacieklej walki o uwolnienie literatury od cenzury, a skończyć na nowej fali reakcji pod koniec stulecia.

Po blisko stuletniej walce o wolność słowa okazuje się, że jej przeciwnicy raczej mnożą się, niż ustępują pola. Są to chrześcijanie, muzułmanie, reżymy totalitarnego ucisku, a nawet mający dobre intencje liberalowie, wśród których mogą się znaleźć feministki, nauczyciele, komitety szkolne, niektórzy bibliotekarze. Nie powinno to nas dziwić, skoro — jak czterdzieści lat temu zauważyła Margaret Mead — zapotrzebowanie na oficjalną cenzurę zazwyczaj jest „reakcją na obecność w społeczeństwie pewnych grup heterogenicznych, reprezentujących odmienne standardy i aspiracje”⁶. A ponieważ nasza kultura stała się bardzo różnorodna, możemy więc oczekiwać nasilenia się głosów opowiadających się za cenzurą. Powinniśmy zatem właściwie rozumieć rolę, jaką odgrywa pornografia w naszym życiu, oraz wartość, jaką reprezentuje.

Mamy znacznie utrudnioną rolę przez to, że okres przypływu wolności, którą cieszyliśmy się krótko pod koniec lat sześćdziesiątych, przez lata siedemdziesiąte i początek następnej dekady, spowodował zalew materiałów mizoginistycznych i obrazujących przemoc oraz pornografii tak wstrętnej, że nie sposób brać jej w obronę. Pozycje wartościowe artystycznie, można się spodziewać, chroni Pierwsza Poprawka do Konstytucji. Wstęp wolny miały więc: *Lolita*, *Kochanek Lady Chatterley*, *Zwrotnik Raka*, *Couples*, *Kompleks Portnoya*, *Strach przed lataniem*, ale też *Debbie Does Dallas*, *Deep Throat* czy *Smuff*. Zalew pornografii obrażającej kobiety był tak wielki, że zrozumiała stała się reakcja gniewu wielu feministek. Ponadto pornografia po zdjęciu wszelkich barier stała się

⁶ Margaret Mead, „Sex and Censorship in Contemporary Society”, w: *New World Writing*, New American Library of World Literature, New York 1953.

całkiem dochodowym interesem, a to z kolei wywołało następną reakcję.

Znów znaleźliśmy się na rozdrożu, skąd wielu dawnych liberałów i libertynów nieoczekiwanie chce zakazać materiałów erotycznych. Zbladły stare marzenia awangardy o tym, że usunięcie barier pętających erotyzm uwolni ludzi od ograniczeń. Wydaje się, że jesteśmy bogatsi o smutną mądrość mówiącą, dokąd prowadzi wolność seksualna, ale tak naprawdę nigdy nie doświadczyliśmy prawdziwej wolności seksualnej. W gruncie rzeczy zrobiliśmy wiele hałasu o ledwie podobiznę wolności.

Chciałabym tu odejść na chwilę od powtórnego głoszenia pochwały rewolucji seksualnej, by skupić się na wewnętrznym przy- musie tworzenia pornografii oraz jej roli w powstawaniu dzieł sztuki. To sprawa zasadnicza — zrozumieć tę nieopanowaną skłonność do pornografii, erotyzmu, skatologii, zanim wznowi się budząca zawsze wiele kontrowersji publiczną dyskusję na temat ich zastosowań lub ewentualnego zakazu.

Terminów „erotyka” i „pornografia” używam wymiennie, ponieważ uznałam, że wprowadzanie rozróżnień tych terminów to wyłącznie snobizm. Przedtem uważałam pornografię za narzędzie służące masturbacji, termin „erotyka” zaś brzmiał bardziej górnolotnie, miał być bardziej uduchowiony, tak jak monolog Molly Bloom w *Ulyssesie*. Teraz mam wątpliwości co do takiego rozróżniania. Każdy artysta tworzący sztukę wizualną — od nieznanego rzeźbiarza, twórcy minojskiej bogini węży z nagą piersią, do malarzy fresków na murach pompejańskich burdeli, a potem Williama Turnera czy Pabla Picasso — przejawiał skłonność do erotyki i pornografii. To samo artyści pióra. Czasem odczuwa się przymus stymulowania genitaliów, a czasem przymus stymulowania umysłu. A skoro zarówno genitalia, jak i umysł są częściami tego samego organizmu, to dlaczego czynić rozróżnienie pomiędzy masturbacją a estetycznym podniecaniem? Oczywiście można by mówić też o pewnej estetyce masturbacji, ale nasze

społeczeństwo jest zbyt negatywnie nastawione do seksu, żeby odkrywać tę dziedzinę. Tak czy inaczej, czas, by wrócić do samych źródeł impulsów powstawania pornografii i zastanowić się, dlaczego są one tak przemożne.

Zacznijmy od 1601 Marka Twaina. Mimo że tworzył on w czasach wiktoriańskich i doskonale wiedział, że nie mógłby wydać niczego ze swych pornograficznych utworów, to jednak tak bardzo absorbowały jego uwagę i tak bardzo był z nich dumny, że zabiegał o rozpowszechnienie ich wśród swoich przyjaciół.

W przypadku Twaina pornografia stanowiła istotną część jego twórczości, ponieważ wyzwała w nim inne formy nieskrępowanej ekspresji. Pozwoliła mu na przykład na swobodne stworzenie całkiem nowego rodzaju amerykańskiego żargonu, z zastosowaniem narracji w pierwszej osobie, który miał wpływ na zmianę wzorców potocznej mowy w Ameryce i który najbliższy był amerykańskiej duszy. Eksperymenty Twaina z pornografią, erotyzmem i skatologią ułatwiły mu wniknięcie w zbiorową świadomość i stworzenie najwspanialszych mitów, na których opiera się amerykańska kultura.

Fascynuje mnie jego 1601... *Conversation as It Was by the Social Fireside, in the Time of the Tudors*, gdyż świadczy o zamiłowaniu Twaina do eksperymentów lingwistycznych, co z kolei bliskie jest jego skłonnościom do „umyślnej sprośności”.

Określenie „umyślna sprośność” wymyślił oczywiście Władimir Nabokov. Zawsze łączył przymus tworzenia pornografii z „werwą subtelnej poety znajdującego się w swawolnym nastroju”; ubolewał nad nijakością współczesnych pornosów, których akcja „ograniczała się do kopulacji banałów”.

Wobec tak bezbarwnych podniet znawca pornografii rzuca się zachłannie na wszystkie wprawki słowne i żarciki językowe. Pamiętajmy, że Henry Miller zawiódł na całej linii jako autor tekstów pornograficznych pisanych na zamówienie, ponieważ nie potrafił oczyścić ich z poezji, jak sobie tego życzył anonimowy mecenas.

Anais Nin lepiej wypadła w *Delta Venus* i *Małych ptaszkach*. Dla Henry'ego Millera pornografia dlatego miała znaczenie, że wiodła go do poezji!

Jego skłonność do pornografii ma starożytny rodowód. Poezja i pornografia były ze sobą nierozdzielnie związane w literaturze rzymskiej, renesansowej i osiemnastowiecznej. Wzloty pornograficzne u Katullusa, Owidiusza, Petroniusza i Juwenalisa nigdy nie oznaczały obniżenia poziomu artystycznego. Boccaccio, Villon, Rabelais, Cervantes, Shakespeare, John Donne i Andrew Marvell uwielbiali pisać wierszyki pornograficzne. Jonathan Swift, Alexander Pope i Laurence Sterne upajali się w równym stopniu sprośnością, co językiem.

Żaden twórca nie powinien kłopotać się o „dokładne rozgraniczenie między „zmysłowym” a „działającym na zmysły”, uważa Nabokov. To zadanie akurat dla cenzorów, hipokryzją trące. Prawdziwy twórca ma inne zadanie: uwolnić wyobraźnię, niech dzikość myśli swobodnie się rozwija. Natchnienie czerpie ze szczypty pornografii starożytnej literatury. Pod tym względem może uważać Marka Twaina za swego brata.

Decydując się na powierzenie narracji „Pepysowi tamtych czasów, również podczas Królowej Elżbiety”, w książce 1601 Mark Twain przenosi się do świata, który nie znał jeszcze hipokryzji w dziedzinie seksu. W czasach elżbietańskich ludzie nie kryli się ze swą rozwiązłością. Uważali, że funkcje cielesne są zabawne i działają podniecająco na muzy. Ciężkie satyry i prześmiewcze teksty epoki Restauracji Stuartów czy za czasów królowej Anny traktowały funkcje ciała z podobną otwartością i podobnym szacunkiem dla Erosa. Dopiero w dziewiętnastym wieku pruderia (oraz groźba oficjalnej cenzury) zaczęła powstrzymywać rękę pisarza dzierzącą pióro. Shakespeare, Rochester czy Pope byli politycznie znacznie bardziej zniewoleni, niż my jesteśmy dzisiaj, ale gdy chodziło o sprawy seksu, nie musieli wciągać kondomów na swoje pióra. Mogli swobodnie uświadamiać czytelnikom, jakie

poskudztwa wiążą się z ciałem. Zgodnie z klasyczną tradycją poprzez skatologię wyrażali swoje oburzenie. „A Celia, Celia, Celia” — napisał Swift (w jednym ze swoich wierszy, jak to się mówi, nie przeznaczonych do druku), ale pisze to w taki sposób, jakby ona Celia była pierwszą na świecie kobietą, która to robi. Swift rozprawia się z konwencją dworskiej miłości (wyrażając przy tym własny mizoginizm), ale czyni to w takim duchu, który zaakceptowałyby Katullus i Juwenalis. Satyra chłoszcze świat, aby się opamiętał. Przedstawia taniec satyrów wokół naszych szaleństw.

Skatologia Twaina również temu służy, ale poza tym stanowi rozgrzewkę do jego twórczości, coś w rodzaju zapuszczania silnika. Ograniczany pruderią dziewiętnastego wieku, tęsknił za swobodą starożytnych. Broniąc „umyślnej sprośności” w 1601, sam sobie nadał przywilej wolności.

Jeszcze ciekawszy jest fakt, że 1601 Twain pisał tego samego lata (1876), kiedy „gonił z nową książką”; pierwsze szesnaście rozdziałów tej powieści określał jako „autobiografię Hucka Finna”. Trudno tu mówić o przypadkowej zbieżności. 1601 i *Przypadki Hucka* mają ze sobą wiele wspólnego, poza językowym eksperymentalnym nowatorstwem. Jak zauważa Justin Kaplan w swoim eseju *Mr. Clemens and Mark Twain*, „obaj zdecydowanie odrzucali wszelkie tabu i normy towarzyskie, obaj też eksperymentowali z dialektami, czyniąc z nich środek literackiego przekazu”.

Jaki istnieje związek *Przypadki Hucka* z 1601? Sama zajmując się zawodowo pisarstwem, którego proces często wydaje mi się podobny do zmagania Twaina (praca zrywami nad ambitnymi powieściami, okresy niemocy twórczej, kiedy odkładam jedną robotę, by zająć się czymś innym, przerywana podróżami i wykładami), sądzę, że rozumiem jego pisarską strategię. Usiłował znienacka dopaść muzę, by zaskoczona nie mogła mu uciec.

Każdy autor wie, że książka zaczyna żyć wtedy, gdy ożywia ją głos narratora. Może mieć pomysł akcji, postaci, które śnią się w nocy, ale w książkę nie da się tchnąć życia, dopóki autor nie

usłyszy wyraźnie głosu narratora szepczącego mu do ucha. Przecież każda książka przemawia innym, sobie tylko właściwym głosem, tak jak jedyny w swoim rodzaju jest głos dziecka. Może być podobny do głosu innych latorośli, ale będzie miał sobie tylko właściwy timbre, własne brzmienie.

Aby móc rozpoznać ten właściwy głos książki, autor musi mieć możliwość przystąpienia do gry bez obaw o reperkusje. Wszystkie zahamowania w pisaniu biorą się z nadmiernej samokrytyki, ta zaś jest pochodną karzącego głosu rodziców, którzy wdzierają się do wyobraźni autora i lają go za to, że jest niegrzecznym, złym chłopcem. „Ha! — powiada wtedy autor. — Co mi tam, wyrwę się z kręgu rodzicielskiej poprawności, będę robił, co chcę!” Dlatego pornografia zawsze powiązana jest z niczym: nie skrępowaną twórczą swobodą. Artyści fascynują się brudami, gdyż wiedzą, że w brudach początek bierze wszystko, co ludzkie. Wydalanie i rodzenie ma ze sobą bardzo wiele wspólnego, tak samo jest z wydawaniem na świat powieści czy wierszy. Jedynie zwalczenie zahamowań, które sprawiają, że jesteśmy posłuszni społecznym nakazom przyzwoitości, pozwoli nam na zanurzenie się w podświadomości. Zabawiając się pornografią, dajemy świadectwo własnej wolności. A jeśli szczęście nam dopisze i utrzymamy swoją wolność wystarczająco długo, to uda nam się napisać arcydzieło takie jak *Przygody Hucka*.

Te dwa wewnętrzne nakazy nie tylko mają ze sobą coś wspólnego; są one ze sobą nierozdzielnie związane.

Kiedy *Przygody Hucka* ukazały się w roku 1885, Louisa May Alcott trafiła w sedno tej książki, mimo że ją wykleła: „Jeśli pan Clemens nie może wymyślić niczego lepszego, co by się nadawało do opowiadania naszym chłopcom i dziewczętom o nieskażonych umysłach, to lepiej niech przestanie dla nich pisać”. Alcott jednak nie wiedziała, że „nasi chłopcy i dziewczęta o nieskażonych umysłach” wcale tacy nie są. Mark Twain za to wiedział. Nie powinno więc nikogo dziwić, że podczas tego lata nasyconego oparami ska-

łologii Twain powinien pozwolić dojść do głosu swawolnemu Huckowi. I jeżeli *Małe kobietki* nie poszły tak daleko jak dzieło Twaina, to głównie ze względu na Alcottowską troskę o nieskażone umysły. Grzeczność jest zawsze wrogiem sztuki. Jeśli pisarz liczy się z tym, co pomyślą sąsiedzi, krytycy, rodzice i do tego cenzorzy o nieskażonych umysłach, z pewnością nie stworzy dzieła, które, nie bacząc na ograniczenia stawiane przez rozsądek, dawałoby nura w głębię świata wyobraźni.

Książka *1601* jest umyślnie sprośna. Upaja się zasmradzaniem atmosfery poprawności. Rozkoszuje opisywaniem potężnych grzmotów pierdnieć, od których rozchodzi się nieprawdopodobny smród, a także kutasów twardych tak długo, aż piczki „pozbawią ich tej sztywności”. W takiej atmosferze powszechnej sprośności zgromadzone towarzystwo konwersuje na różne tematy — poezję, teatr, sztukę, politykę. Twain wiedział, że muza unosi się na skrzydłach napędzanych pychą, i on świetnie się bawił, pisząc ten elżbietański pastisz, który skrzy się dowcipem przez sto dwadzieścia lat z okładem. Spróbujcie przeczytać *1601*, nie krztusząc się ze śmiechu...

W ciągu ostatnich kilku lat na temat pornografii napisano wiele nabożnych, poprawnych politycznie dyrdymałów. Pornografia, jak nam mówi szlachetna a samozwańcza feministka, Catharine Mackinnon, to obraza kobiet, która w dodatku prowokuje gwałt⁷. Pornografia, wedle jednej z towarzyszek broni Mackinnon, Andrei Dworkin, to rodzaj gwałtu⁸.

W końcu młodsze feministki gremialnie dały odpór temu niesprawdzonemu twierdzeniu. Pornografia, dowodzi Susie Bright, jest niezbędna do wyzwolenia się. Pornografii, twierdzi Sallie

⁷ Por.: *Only Words*, Harvard University Press, 1993.

⁸ Por.: *Letters from a War Zone*, 1993, albo w jakąkolwiek inną książkę Dworkin.

Tisdale, chcą zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Pornografię, przypomina Nadine Strossen, dopuszcza konstytucja.

Co w takim razie z konstytucją dla artystów? Czy fotografie lili zrobione przez Roberta Mapplethorpe'a mogłyby istnieć bez fotografii kutasów? A Henry Miller, czy potrafiłby ogarnąć cały proces ludzkiej transcendencji w *Kołos z Maroussi*, gdyby przedtem nie unurzał się w paryskich rynsztokach w *Zwrotniku Raka*?

Odpowiadam: nie. Bez gówna nie ma kwiatów. Bez kutasów nie ma wierszy.

Nie po raz pierwszy w historii jesteśmy świadkami, kiedy liberalne w zasadzie ugrupowanie, jakim są feministki, zbacza z kursu, by zająć się kwestią czystości. Ubiegłowieczne sufrażystki także przemieniły się w pruderyjne strażniczki prohibicji, marnując siły na zakazywanie picia i pilnowanie, by zachowana była czystość umysłów. Można wysunąć argument, że troska o nieskażone umysły fatalnie odbija się nie tylko na sztuce, ale i na ruchach politycznych.

Dlaczego ta skłonność do represjonowania pojawia się w ugrupowaniu uznawanym za liberalne? I dlaczego powraca purytańskie dążenie do kontrolowania i cenzurowania artystów? Artysta musi być wolny, aby prowadzić grę z własnym ego, a to po to, by głębiej wnikał we własne wnętrze. Tyle że id może być przerażające. Może ziewać szeroko jak *vagina dentata*. Grozi, że odgryzie głowę, ręce, kutasa i pochłonie nas w swych najczarniejszych odruchach. Społeczeństwo obawia się uwolnić id, nawet jeśli ono skamle, by wydobyło je z otchłani. Uciekamy od marzeń i wyobrażeń, choćbyśmy nie wiadomo jak bardzo pragnęli się w nich pogрузić. Nie ludźmy się: mętna woda, w której życie bierze początek, jest straszna. Uświadamia nam, w jak nikłym stopniu panujemy nad własnym życiem czy nad śmiercią. Przypomina nam, skąd przyszliśmy, pobudza do zastanowienia się nad naszym nieuniknionym końcem.

Sądzi się, że pornografia zagraża politycznym działaniom, po-

nieważ podobnie jak sumienie, nie da się zaplanować. Niebezpieczna to gra, skoro nie można przewidzieć jej wyniku. A ponieważ marzenia senne to język, którym przemawia podświadomość, artysta tworzący wartościowe dzieła musi być biegły w posługiwaniu się językiem snów. Pornografia ma bezpośredni związek z podświadomością.

Domyślam się, że właśnie dlatego pisanie *1601* sprawiało Twainowi tyle frajdy owego lata, kiedy to w głowie kiełkowały mu przygody Huckleberry'ego Finna. Brudy zawarte w *1601* stanowiły doskonały nawóz pod glebę, na której wyrosły *Przygody Hucka*. Jak wielu innych artystów, mających łączność ze swoim id, również Twain instynktownie czuł, że seks i zdolności twórcze są wzajemnie zależne. Nie mógł naszpikować *Przygód Hucka* smrodliwymi bakami, kutasami i cipami, mógł jednak bawić się *1601*, ćwicząc wyobraźnię w wymyślaniu łobuzerskich zachowań, którymi obdarzył nowego antybohatera swojej następnej książki.

W swym klasycznym już esej *Obscenity and the Law of Reflection*⁹ Henry Miller podsuwa myśl, że „kiedy obsceniczność pojawia się w sztuce, zwłaszcza w literaturze, zazwyczaj pełni rolę środka technicznego... Celem jego bowiem jest obudzenie i wprowadzenie poczucia rzeczywistości. W pewnym sensie jego zastosowanie przez artystę może być przyrównane do odwołania się do cudów czynionych przez Mistrzów”. Miller ma tu na myśli duchowych mistrzów. Wierzył, że Chrystus i mistrzowie zen uciekali się do cudów tylko wtedy, gdy było to absolutnie niezbędne do obudzenia uczniów. W ten sam sposób artysta odwołuje się do obscenów. „Prawdziwa natura obsceniczności leży w jej dążeniu do nawrócenia się” — twierdzi Miller. „Obscena użyte są w literaturze jako pewnego rodzaju dzwonek alarmowy dla podświadomości, który ma ją obudzić. Obscena zabierają nas w podróż do innego wymiaru rzeczywistości”.

⁹ Por.: Henry Miller *on Writing*, New Direction, 1964.

Tak więc 1601 pełniło rolę stymulującą dalszą twórczość autora. Książka ta obudziła w nim nieskrępowane dążenie do eksperymentowania, zabawy i snucia nieprzyzwoitych marzeń.

Jak kiedyś powiedział Havelock Ellis: „Dorośłym potrzebna jest obsceniczna lektura, tak samo jak dzieciom bajki, jako swoisty wentyl dla krępujących więzów konwenansów”. Ciężenie ku obscenom to ni mniej, ni więcej, tylko pęd ku wolności. Ci, którzy odrzucają pornografię, robią to z lęku przed rozwiązłością, jakiej by się zapewne oddali, gdyby zakazy przestały obowiązywać. Zabraniają tego, co ich najbardziej nęci. Cenzor to ktoś taki, kto w zaciszu prywatności ślini się, oglądając filmy, książki czy dzieła sztuki, których reszcie społeczeństwa nie pozwala oglądać.

Na przestrzeni dziejów dążenie do wprowadzenia zakazów zawsze było najsilniejsze u tych, których najmocniej przyciągała swobodna obsceniczność. Tłumiąc wolność innych, cenzor oczekiwał, że jednocześnie stłumi owe skłonności do obscenów.

„Wyzwolenie — twierdzi Henry Miller — oznacza zerwanie pęt, wydostanie się z kokonu. Czymże jest obsceniczność, jak nie oczekiwaniem na właśnie mające nastąpić urodziny, to pierwotne paroksyzmy w obliczu pojawiającego się nowego życia”.

Rozwijając tę myśl, Miller twierdzi dalej, że „obsceniczność to próba podglądania nieznanych procesów zachodzących we wszechświecie”. Poczucie winy Stwórcy, który czuje, że rodzi się coś niezwykłego, bierze się ze świadomości manipulowania boskimi siłami, to prometejska wina za uosabianie nieśmiertelnych. „Obsceniczność ma wszelkie cechy ukrytych interwałów” — utrzymuje Miller.

Jest niezmierna jak sama podświadomość, i tak jak ona amorficzna, płynna, nieuchwytna. Gdy uzewnętrznia się jako coś dziwnego, zaraźliwego i zakazanego, bierze nas w posiadanie, kiedy wiedzeni narcystycznym zachwytem pochylamy się nad własnym odbiciem, oczarowani własną niepowtarzal-

nością. Znana wszystkim, jest jednak wzgardliwie odrzucana, przez co pojawia się w coraz to innych przebraniach w najmniej spodziewanych momentach. Ale rozpoznana i zaakceptowana potrafi sprowadzić natchnienie nie bardziej straszne niż... kwiat lotosu, korzeniami sięgający błotnistego dna rzeki, która go zrodziła.

Erotyka i zdolności twórcze nie zawsze pozostawały ze sobą w opozycji, jak to jest teraz czy w czasach Marka Twaina. Cała tak zwana prymitywna i pogańska sztuka ukazuje związek seksu z siłami twórczymi — czy to w formie gigantycznych fallusów, czy mnogiej piersi, czy też brzemiennych brzuchów. Ale charakterystyczny dla epoki chrześcijańskiej rozdział umysłu od ciała skazuje artystów na ustawiczną ambiwalencję: aktów twórczości skojarzonych z nieustannym poczuciem winy za posiadanie daru tworzenia.

To poczucie winy możemy zaobserwować zarówno u Marka Twaina, jak i u każdego innego artysty, bez względu na czasy, w jakich żył. Weźmy choćby jego strategię pisania zrywami albo obawy przed oddaniem się pracy nad książką, kiedy wiedział już, że w procesie twórczym uniesie zasłonę oddzielającą go od obszarów zakazanych a świętych — wszystko to zdradza jego nadmierne uwrażliwienie na coś, co można by nazwać — używając bardzo górnolotnego określenia — poczuciem winy postchrześcijańskiego stwórcy.

W społeczeństwach mniej rozwiniętych artysta i szaman to jedno. Nie ma żadnej rozbieżności pomiędzy twórczością artysty a świętością. Szaman-artysta tworzy, aby czcić, oraz czci, aby tworzyć.

W naszej kulturze wygląda to inaczej. Artyści, nękani wyrzutami sumienia z powodu samej tylko zdolności tworzenia, prześladowani przez cenzorów, mają tak silne poczucie nieustannego popełniania grzechu, że często tego nie wytrzymują. Nic więc

dziwnego, że uciekamy się do obscenów, by wyważyć drzwi, unieść zasłonę. I nie dziwota, że tak bardzo trwamy przy swoim prawie do owego wyważania drzwi, jakby od tego zależało nasze życie. Bo też i często zależy.

Dla artystów zatem pornografia jest środkiem torującym drogę do podświadomości, a historia dowodzi, że jeśli prawo do niej nie zostanie im oficjalnie przyznane, wówczas sami je sobie nadadzą. Mark Twain wydał 1601 własnym sumptem. Picasso miał swój sekretny notes z pornograficznymi rysunkami, które zostały opublikowane dopiero po jego śmierci.

Co jednak z dostępem do tych prac? Czy powinien być ograniczony? A jeśli tak, to w jaki sposób powinno się decydować, komu ograniczyć ten dostęp oraz kto miałby podejmować takie decyzje? Jak już wcześniej wspomniałam, tego typu problemy powstają w społeczeństwach heterogenicznych. W jednorodnych społeczeństwach rządzi tradycja, a obowiązujące prawo tabu decyduje, co może być oglądane, a co nie, i całe plemię z tym się godzi. Natomiast nasze społeczeństwo jest wieloetniczne, wielorasowe, o różnych orientacjach seksualnych. To, co obraża islamistów, unitarianom może wydawać się nieszkodliwe. To, co godzi w ortodoksyjnych żydów, zasymilowani mogą bez trudu zaakceptować. To, co jest obrazoburcze dla feministki, czupurny nastolatek uzna jedynie za swobodną wypowiedź. Przecież nie jesteśmy zgodni nawet co do definicji nieprzyzwoitości.

Kto więc będzie ustalał zasady dla całego społeczeństwa, które jest tak zróżnicowane, że nawet nie ma jednolitego poglądu na to, czym są obscena?

Wobec takiego problemu stajemy obecnie. Dodajmy do tego niesłabnącą uwagę mediów oraz fakt, że skupione są w rękach coraz to mniej licznego grona, a dostrzeżemy kryjące się za tym niebezpieczeństwo. Amerykańskie stacje telewizji komercyjnej „rozwiązały” ten problem, odrzucając wszystko, co jakimkolwiek bądź ugrupowaniu mogłoby się wydać obraźliwe i groziłoby

skargą do ich sponsorów. Odrzucimy wszystko, co jest zwariowane, ekscentryczne, działające na wyobraźnię, erotyczne, satyryczne lub po prostu dziwne, a otrzymamy jałową papkę jak dietetyczne półprodukty dla niemowląt, reklamowane przez amerykańską telewizję. Istnieje niebezpieczeństwo, że nasz kraj stanie się wkrótce monotematycznym parkiem disneyowskim, którego jedynym zadaniem będzie sprzedać jak najwięcej hamburgerów, hot dogów i świecidełek przedstawiających bohaterów kreskówek. Pokrewne media, których działanie odbywa się głównie na drodze od karty kredytowej do internetowego zamówienia, zdają się zmierzać w tym samym kierunku. Purytanie już podejmują próby oczyszczenia cybernetycznej przestrzeni z seksu, ale nie ze sprzedaży. W sprzedaży Amerykanie oczywiście nie dostrzegają niczego nieprzyzwoitego.

Margaret Mead uważa, że wszystkie społeczeństwa widzą dwa zasadnicze problemy związane z seksem:

jak wyeliminować z kanałów objętych zakazami erotykę, która mogłaby zaszkodzić duszy i ciału lub też zakłócić pokrewne procesy życia społecznego, a także jak pozwolić jej swobodnie objawiać się w kanałach nie objętych anatema, tak by dzieci zostały poczęte i wychowywane w rodzinach, których spoiwem jest zachowanie niezbędnej dawki pożądania sprawiającego, że ojciec i matka pozostają ze sobą w trwałym związku.

Należy działać na rzecz trwałości rodziny w celu takiego wychowania dzieci, by mogły one „skoncentrować swoje zainteresowania seksualne na właściwych osobach”. Te dwa społeczne cele tylko pozornie wydają się łatwe do osiągnięcia. Przypadkowe kontakty seksualne powinny być kontrolowane, hamowane i podlegać pewnej rytualizacji — jednak bez uszczerbku dla samego pożądania. Pożądanie jest niezbędne — nie tylko dla sztuki, ale i dla trwałości związku rodziców. Seks może być siłą niszczącą albo

spajającą, zależy, jak się go użyje. Wiele prymitywnych społeczeństw dopuszcza grupowe zachowania seksualne w pewnych szczególnych okolicznościach: by zapewnić sobie urodzaj albo z okazji ślubu czy jakiegoś święta. „Orgia, w której uczestniczą wszyscy, co ma służyć wspólnym celom, przestaje być orgią, jest aktem uświęconym” — twierdzi Margaret Mead.

Nie uważamy, żeby pornografia służyła wspólnym celom społecznym, i jest to jedna z przyczyn naszego negatywnego do niej stosunku. Ale może to okazać się złudne. Minister zdrowia poprzedniej ekipy, Joycelyn Elders, została przed kilkoma laty zmuszona do ustąpienia, po tym jak publicznie stwierdziła, że masturbacja może okazać się czymś pożytecznym dla dorastającej młodzieży, a w każdym razie znacznie lepszym niż przedwczesne rozpoczynanie życia seksualnego czy ojcostwo lub macierzyństwo. Jednak hipokryzja amerykańskiego społeczeństwa była tak wielka, iż to niewątpliwie słuszne stwierdzenie wywołało głośnie zbiorowe protesty. Prezydent Clinton, zważywszy na swoje skłonności, powinien raczej nadać jej honorowy medal Kongresu, niż zmuszać do rezygnacji.

Ja ją popierałam. Nawet idiota wie, że masturbacja jest mniej szym złem niż zostanie rodzicem w wieku lat trzynastu, czternastu, piętnastu... Ale nie można tego powiedzieć publicznie. Mamy udawać, że coś takiego jak pożądanie w ogóle nie istnieje. Ale pożądanie seksualne istnieje i każda społeczność w dziejach ludzkości wyrażała to w sztuce, literaturze, dowcipach, tańcu, muzyce, uświęconych obrzędach. Teraz stajemy wobec perspektywy, że wielorakość naszego społeczeństwa może doprowadzić do zaniechania uniwersalnego wyrażania uczuć.

Uważam, że cenzura w wolnym społeczeństwie to zło zasługujące bezwzględnie na potępienie. O wiele lepszym sposobem na trzymanie tych niestosownych materiałów z dala od małoletnich czy naszym zdaniem osób emocjonalnie niedojrzałych jest stopniowanie dostępu oraz etykietowanie zwłaszcza literatury,

tak by nieletni czy ich opiekunowie zostali w porę ostrzeżeni. Ograniczenie dostępu ze względu na wiek to nie to samo, co całkowity zakaz dostępu. Rodzice, którzy uważają za swój obowiązek trzymać swoje dzieci z dala od szkodliwego wpływu lektur, filmów, książek czy Internetu, niech po prostu wyciągną wtyczkę z gniazdka (a książki i czasopisma trzymają pod kluczem) w chwili, gdy zwietrzą niebezpieczeństwo. To nie w porządku, że tacy rodzice domagają się ustanowienia państwowej kontroli nad zjawiskami, których oni sami nie są w stanie kontrolować. Podobnie jest z purytańskimi sektami. Jeśli nie potrafią odwieść swojej młodzieży od tarzania się w moralnym błocie, jaki więc przykład dają sami? Przecież nie można oczekiwać, że państwo zapewni takie autorytety moralne, jakimi nie mogą pochwalić się ich kapłani.

Zamiast cenzurowania, ograniczałabym dostęp do kontrowersyjnych materiałów, zwiększyłabym odpowiedzialność rodziców, a tym, którym się nie podobają nasze media, zaproponowałabym stworzenie własnych, konkurencyjnych mediów. Jeśli zabronimy wszystkiego, co może urazić jakąkolwiek grupę w naszym zróżnicowanym społeczeństwie, to wkrótce nie będziemy mieli kultury, sztuki, humoru i satyry. Satyra przecież z definicji jest obraźliwa. Tak samo dyskursy na tematy sztuki i polityki. Ale ich wartość znacznie przewyższa ryzyko, jakie ze sobą niosą.

Oskar Wilde, który, zdaje się, skomentował już wszystko, tak powiedział o cenzurze: „We Francji... dziennikarzom stawia się znaczne ograniczenia, a artystom pozostawia wolność niemal absolutną. Tutaj dajemy dziennikarzom wolność absolutną, ale ograniczamy artystów”.

To prawda, jak większość jego uwag. Ponad sto lat po skazaniu go za „obrazę moralności” powinniśmy być ostrożniejsi niż nasi przodkowie w stawianiu ograniczeń dla wyrażania swojej seksualności. Szermując argumentem dobra dziecka, nie możemy skazywać na śmierć głodową dorosłych. W imię społecznego ładu nie możemy zaprzeczyć się ekstazy. Tym, co możemy zrobić, jest

wprowadzenie bariery wiekowej. I to wszystko, co powinniśmy zrobić. Wyegzekwowanie tego może okazać się wyrywkowe, ale podobnie dzieje się z egzekwowaniem dostępu dzieci do nikotyny czy przestępców do broni palnej. Skoro tolerujemy działalność przedsiębiorstw tytoniowych przyzwyczajających nasze dzieci do substancji rakotwórczych, to czystą hipokryzją jest domaganie się cenzurowania materiałów dotyczących seksu, powołując się na ich szkodliwość i propagowanie zbrodni.

Feministki, które w dobrej wierze, ale bez żadnych dowodów, utrzymują, że pornografia jest równoznaczna z gwałtem; głoszący ewangelię chrześcijańską, którzy mają tak niewielki wpływ na własne dzieci, że chcą, by to państwo dbało o ich morale; islamiści, którzy odczytując dosłownie dzieła będące wytworem wyobraźni, rzucają na pisarzy *fatwę* — wszyscy oni nie mogą być dla nas wzorem. Musimy postarać się utrzymywać intelektualną i artystyczną doskonałość nawet w ustroju demokratycznego pluralizmu. To trudne wyzwanie i grozi wyzwoleniem się fanatyzmu w ideologicznych sporach. „Każda idea jest podburzaniem” — powiada Oliver Wendell Holmes. Oczywiście nie oznacza to, byśmy mieli zrezygnować z idei.

Prawo angielskie w odniesieniu do pornografii usiłuje zakazać pewnych materiałów, ponieważ mogą one powodować „deprawację i zepsucie”. Zasada Hicklina, na której przez ponad wiek oparte były niemal wszystkie brytyjskie i amerykańskie decyzje dotyczące pornografii (i która ostatnio znów odżyła za sprawą Catharine MacKinnon pod inną nazwą) została zweryfikowana przez przeprowadzenie testów na „zgubny i deprawujący wpływ materiałów obscenicznych na umysły słabe i podatne na niemoralne wpływy”. Przepis o Wydawnictwach Obscenicznych z 1959 i 1964 roku trochę modyfikuje prawo Hicklina, ale nadal opiera się na testach deprawacji i szkodliwości przy definiowaniu pornografii i rozróżnienia jej od wytworów ludzkiej pomysłowości, które posuwają naprzód wiedzę medyczną, sztukę lub literaturę. Trzeba

przyznać, że ten sprawdzian nie jest zbyt precyzyjny, a przy tym bardzo podatny na wpływy polityczne. Obecnie obowiązujące w Ameryce prawo o pornografii jest równie złe. Uznaje „normy społeczne” za sprawdzian i stale odwołuje się do norm federalnych.

Tak więc nie przybliżyliśmy się ani na jotę do opracowania definicji obscenów, a ponieważ nasze społeczeństwo staje się jeszcze bardziej zróżnicowane, chaos i zamieszanie w tej kwestii tylko się pogłębia. Jeśli jeszcze wziąć pod uwagę fakt, że stróż moralności nie zawsze są całkiem szczerzy, często też powodowani są przyziemnymi ambicjami politycznymi, łatwo się przekonać, jak bardzo delikatny, a jednocześnie trudny to temat. W pamiętniku Johna Mortimera zatytułowanym *Murderers and Other Friends* znajdujemy ciekawy fragment dotyczący właśnie tej kwestii:

Jako obrońcy stajemy oczywiście po stronie książek i filmów, które oskarżyciel chciał wycofać. Co wcale nie znaczy, by pozycje te wydawały nam się szczególnie atrakcyjne; kiedy broni się domniemanego mordercy, niekoniecznie trzeba wierzyć, że najlepszym sposobem na położenie kresu nieszczęśliwemu małżeństwu jest pchnięcie nożem. Oskarżyciel usiłujący stać na straży czystości życia naszego narodu, podobnie może zachowywać bezstronność. Geoff i ja prowadziliśmy kiedyś ciągnącą się sprawę o jakieś zakwestionowane wydawnictwa przeciwko wyjątkowo jowialnemu oskarżycielowi, który codziennie przechodząc obok mnie, kiedy z ponurą determinacją przygotowywałem się do zajęć na cały dzień, ocierał się o moje niemłode już kolana i skrzeczał: „Możecie nas pocałować, dzióbki”. Zapiski swoje prowadziłem w notesach, które na okładce miały czarne kółka. W swej mowie końcowej oskarżyciel zwracając się do sędziów, grzmiał: „Dopuszczenie do ukazywania się tego typu wydawnictw grozi zepsuciem młodzieży, podkopaniem autorytetów, rozluźnieniem więzi rodzinnych,

spowolnieniem rozwoju cywilizacyjnego aż do całkowitego jego zastoju". Następnie spoglądając na okładki mojego notesu, mruknął: „Ten twój notes ma dupny wzorek, kochasiu”, po czym dalej ciągnął swoją perorę. Chodzi o to, że stróżę zbiorowej moralności niekoniecznie są tacy, jakimi ich widzimy”.

Pewnie, że nie. Trzeba przyznać, że w dziedzinie sprawowania cenzury od czasów Anthony'ego Comstocka do chwili obecnej nie mamy się czym chwalić. Poza tym ludzie są tylko ludźmi i ich głównym motywem działania jest najpierw chęć władzy, następnie zachłanność; wprowadzanie i wykorzystywanie cenzury dla celów politycznych jest odwieczną ludzką słabością — żeby pokonać przeciwników, uciszyć dysydentów, utrzymać status quo na niezmienionych warunkach, a kobietom przypomnieć, gdzie jest ich miejsce, i zadbać, by tego miejsca nie zmieniały. W każdych okolicznościach — jeśli wprowadzone są podstawy prawne do sprawowania tego typu kontroli — służą one uciskowi najsłabszych, nonkonformistów, kobiet, czarownic. Zawsze cenzura w rękach państwa jest jak pałka w ręku policjanta; dziwię się więc feministkom, które usiłują odnowić jego władzę w tym zakresie. Może wydaje im się, że same są (lub za chwilę będą) państwem? W takim razie czeka je wielki zawód. Troska o „czystość obyczajów” jest albo ostatnią ucieczką drania, albo pierwszym krokiem na drodze do faszyzmu. Najpierw palą książki, jak mówił Heine, a potem palą ludzi. Książki znaczy też: filmy, Internet, telewizja — wszystko.

Kto odnosi korzyści z cenzury? Uważam, że ci, którzy posiadają i kontrolują coraz większe koncerny prasowe i zawiadują środkami masowego przekazu. Mając za sobą prawo, konstytuują cenzurę, skuteczniej umacniają swoje panowanie w eterze, Internecie. Koalicja chrześcijańska najpierw będzie próbowała opanować Internet przez wprowadzenie przepisów prawnych o wyrugowaniu obscenów, ale można mieć pewność, że w ich definicji obscenów nie będzie wzmianki o powoływaniu rezerwy za po-

średnictwem światłowodów ani zmiany stanowiska w sprawie przepisów mówiących o kontrolowaniu posiadania broni, ochrony środowiska czy też swobodnym wyborze środków antykoncepcyjnych lub wreszcie aborcji. Obscena znajdują się zawsze we wrogim obozie. Własny program jest zawsze moralnie bez skazy.

Choćby dla tego jednego opowiadał się przeciwko cenzurze. Wolę niekontrolowany chaos informacyjny wszelkiego rodzaju niż zakazywanie pewnych wybranych materiałów. Nie wierzę, by człowiek mógł wznieść się ponad polityczne cele i promować wyłącznie powszechne dobro. To, co dla jednego ugrupowania będzie oznaczało służenie społecznemu dobru, dla innego będzie sprzyjaniem złu.

Lepiej więc skupmy się na karaniu gwałcicieli, zapewnieniu kobietom i dzieciom bezpieczeństwa na ulicach, niż na zakazywaniu pornografii. Lepiej poświęćmy więcej czasu na wychowywanie dzieci i wpajanie im zasad niż na policyjne kontrolowanie telewizji, kolorowej prasy i Internetu.

Podejrzewam, że głosy za cenzurą pochodzą wyłącznie od osób leniwych, którym nie chce się popracować nad młodymi umysłami. Przecież tak naprawdę wychowujemy dzieci na własnym przykładzie, a nie za pomocą przycisku w pilocie czy podłączając je do Internetu. Jeśli jesteśmy hipokrytami, to i one będą takie same. Jeśli szczerze w coś wierzymy, to i je również przyciągać będzie uczciwość. Środki masowego przekazu nie wychowują nam dzieci, my to musimy robić. Próbując zapanować w eterze, powielamy dyktatorskie metody. Chcemy doprowadzić do tego, by środki masowego przekazu były mediami, przez które bezpiecznie wszystko będzie można sprzedać, wtedy my dostarczymy nowych rzesz klientów, rezygnując z własnej, osobistej odpowiedzialności. Lepiej wyłączyć telewizor, niż wyłączyć własne odpowiedzialne rodzicielstwo i osądzanie.

Ostatnio coraz częstsze głosy za cenzurą są próbą obarczenia mass mediów odpowiedzialnością za trudne do rozwiązania pro-

blenny przeludnionego świata, w którym rządzi przemoc i w którym bogactwo stało się jedyną miarą wartości. Tymczasem prawda jest taka, że środki masowego przekazu są jedynie odbiciem naszych wartości. Pokazują nam, kim jesteśmy i czym się staniemy. Jeśli nam się ten obraz nie podoba, powinniśmy zabrać się do uzdrawiania gremiów politycznych, a nie retuszowania ich publicznych wizerunków. Bo inaczej to będzie tylko udawanie entuzjazmu dla reform przy nicnierobieniu.

Rozdział jedenasty

Kazirodstwo i Anaïs Nin

*Mam uczuciowego tasiemca,
nigdy nie jestem syta.*

Anaïs Nin

Anaïs Nin: już samo jej imię zawiera w sobie coś egzotycznego i erotycznego zarazem. Powinno istnieć osobne słowo na określenie tej niesamowitej kombinacji. Choć w gruncie rzeczy już istnieje: jest nim właśnie jej imię. Anaïs to także perfumy, bogata biblioteka, kolekcja fotografii o zasobach niemal muzealnych i oczywiście archetyp współczesnej pisarki-kobiety.

Jak każdy archetyp, wzbudza ona uwielbienie i nienawiść, co jest dowodem przytaczanym w każdym przypadku kanonizacji i w każdym ataku.

Kate Millett widziała w Anaïs Nin pierwszą pisarkę, która nakreśliła autoportret artystki-kobiety. Miller uważa, że „naszą formą pisarską jest autobiografia”, nazywając Nin „Matką nas wszystkich”.

Dlaczego tak niewiele jest stanów pośrednich między uwielbieniem a nienawiścią? Ano dlatego, że Nin postrzegana jest jako rzeczniczka swobody seksualnej i wolności psychologicznej. To, jak się na nią reaguje, zależy od stopnia swobody czytelnika. Dla kobiet, które chcą osiągnąć swobodę — artystyczną i seksualną — jest ona pionierką, uprawniającą nasze dążenia. Ale dla kobiet, które lękają się wolności, staje się obiektem, który wywołuje

wściekłość; złość bowiem może być jedyną reakcją osób, które nie są wolne.

Dla mężczyzn stanowi ona zagadkę — jedni widzą w niej uwodzicielkę, pociągającą przez swoje erotyczne i literackie czary (które mają te same źródła), dla innych jest odstręczająca przez swoje manipulacje, staromodny, dziewiętnastowieczny niemal romantyzm erotyczny oraz nieznośną, pretensjonalną manierę pisarską. A ponieważ nieliczni tylko mężczyźni rozumieją problemy, jakie napotyka pisarka, uważają, że jej strategia jest pokrętna, zwodnicza, zawołowana.

Jakież to problemy, z którymi spotyka się pisarka? Powiedzmy to jasno, raz na zawsze. Virginia Woolf znakomicie to opisała we *Wspólnym pokoju* (1928), ale widocznie większość o tym nie słyszała.

Po pierwsze — potrzeba spokoju i prywatności, a tego właśnie najczęściej kobiecie brakuje. Jeśli jest żoną czy matką, albo choćby tylko opiekuje się młodszym rodzeństwem, rodzicami, ciotką czy kochankiem, uważa się, że ona wcale nie potrzebuje czasu i miejsca dla siebie. Nie da się jednak pisać w obecności tłumu ludzi.

Następna sprawa — brak pieniędzy na zaspokojenie własnych potrzeb, tych symbolicznych kilku gwinei rocznie, których potrzebuje modelowa pisarka Woolf. Gwinee odeszły w przeszłość, ale na zdobycie środków do życia kobieta poświęca czas przeznaczony na pisanie. Modelowa pisarka opisana przez Virginie Woolf ma niewielki kapitałik. Natomiast co do mężów, to kiedyś rzeczywiście zapewniali utrzymanie żonom, ale zawsze w zamian za świadczenie pewnych usług — towarzyskich, seksualnych, macierzyńskich, kulinarnych. Rzadko zdarzają się mężowie, nawet obecnie, którzy zwolniliby żonę z obowiązków uczestniczenia w towarzyskich spotkaniach, z rodzinnych powinności, wychowywania dzieci, by jej intelekt mógł się swobodnie rozwijać. Żona, która komunikuje mężowi: „Nie przyjdę do domu na obiad, gdyż zajęta

jestem pisanie”, może spodziewać się rychłej utraty swojej pozycji. A ponieważ większość światowych zasobów pieniężnych znajduje się w rękach mężczyzn, a kobiety, też w przeważającej większości (z małymi wyjątkami), zależne są od postaw mężczyzn, muszą albo zmienić swoich panów, albo chodzić wokół nich na paluszkach i ich okłamywać, albo też rozwieść się i żyć samotnie.

Wybór jest swobodny, jak nigdy dotąd. Trudno jednak wyzbyć się instynktów rodzinnych. Rodzinne ciepłko uziemia marzycieli. Męscy marzyciele faktycznie potrzebują tego ciepłka, ale nie pozostaje ono w sprzeczności z uczuciami rodzinnymi. Od damskich marzycielek z kolei często wymaga się rezygnacji z miłości.

Domowe dylematy nie wyczerpują sprawy. Załóżmy, że kobieta jakoś je rozwiąże i w końcu może zaprezentować światu swoją twórczość. Zaraz okazuje się, że w kwestii seksu panują utrwalone uprzedzenia, że to mężczyźni ustalają zasady prestiżu, a jej płęć wchodzi lub wychodzi z mody mniej więcej co dziesięć lat.

Spotyka się także z dychotomią: kurwa/madonna. Te, które piszą o seksie, uchodzą za kurwy. (Dobre kobiety piszą rodzinne powieści, rozlewne gnioty historyczne, romansidła bezwartościowe literacko albo biografie postaci historycznych. Dobre kobiety nie naruszają status quo).

Oczywiście znajdzie się też troszkę miejsca dla renegatek i buntowniczek, zwłaszcza jeśli leżą już w grobie. Virginia Woolf na szczęście już nie żyje, na szczęście była modernistką i na szczęście można ją zaszeregować jako „Bloomsbury”. Gertruda Stein podobnie: na szczęście martwa, na szczęście modernistka i na szczęście można ją zakwalifikować jako lesbijkę. Nie spędza snu z powiek męskich krytyków, ponieważ nie ingeruje w ich sprawy domowe i łóżkowe. Nie musi być osądzana przez przeciwników heteroseksualnej miłości. Woolf i Stein są w końcu obie *sui generis*.

Co innego kobiety, które aktualnie żyją na tym świecie, śpią z mężczyznami, kochają dzieci i ośmielają się za pośrednictwem swoich książek zabierać głos w dyskusji na temat seksu. O, wtedy

ry'emu, będącemu jeszcze płodem. Wie, że Henry nie chce mieć rywala w postaci dziecka, wie też, że nie może obdarzyć Hugona dzieckiem Henry'ego. W wyobraźni obserwuje walkę, jaką stacza w niej dziecko z jej ego artystki. Wiedziona skrupułami wobec Hugona idzie do akuszerki, by przerwać jej ciążę.

Ten akt poświęcenia odmienia jej życie. Anaïs jest świadoma ceny, jaką przyjdzie jej zapłacić. Urodzenie martwego płodu opisuje tak przejmująco, że czytając to po raz dziesiąty, za każdym razem płaczę. Wydalony płód staje się bezdomnym dzieckiem jak ona sama. „Moje na poły wykształcone dziecko było tak pełne energii, że chcę je zawrócić z drogi, do ciemnej czeluści, jeszcze braku świadomości, do raju niebytu. Przecież cię znam, żyjemy razem. Jesteś przyszłością. Jesteś rezygnacją”.

Potem następuje zmaganie porodowe, usiłowanie wypchnięcia martwego dziecka. Anaïs przestaje przeć, czym wzbudza wściekłość lekarza, który naumyślnie sprawia jej fizyczne cierpienie. Anaïs wyje z bólu.

Wreszcie ta mała ofiara wydostaje się na świat. To dziewczynka, ostatecznie uformowana, ostatecznie martwa.

Wtedy Anaïs czuje też, że w tym momencie narodziła się jako artystka. Dopuściła się podwójnego zabójstwa: zabiła siebie jako kobietę i małą istotę, która miała być kobietą.

Tym jednym czynem odrzuciła matkę i ojca, Henry'ego, Hugona, Ranka i wszystkich mężczyzn, którzy chcieli mieć ją na własność. Już nigdy nikt nie będzie mógł jej porzucić.

Zwrotnik *Raka* to drugie dziecko wydane na świat. Henry jest wypromowany, co sprawia, że przestaje być dla niej interesujący (ale nie vice versa). Anaïs odpływa z Rankiem do Ameryki, by zostać psychoanalityczką.

To, co zaprezentowała Anaïs Nin, to nic innego, jak zwierciadło życia. Zmiany nastrojów, przerzucanie się od miłości do nienawiści, które znaczą naszą ulomną naturę, jak nigdy dotąd, tu ukazane są *in statu nascendi*.

To samo robił Proust, Joyce i Miller, ale ona ukazuje to wszystko z kobiecego punktu widzenia i z perspektywy kobiecego sumienia. Tam, gdzie Millera nieraz nie da się czytać z braku akcji i — przy czym pisarz uparcie obstawał — nielinearnego podejścia do czasu, Nin jest zawsze czytelna i jasna. Potrafi oddać zmiany nastroju i poglądów przez mnogość opisów, nie zaś, jak to często spotyka się u Millera, przez maniakalne powtórki.

Nie przesłania też swych opowieści mitologicznymi aluzjami ani wyszukanyymi neologizmami jak Joyce. Miała jednak jak inni awangardowi pisarze taką samą potrzebę rozsadzania ram czasu i przestrzeni. To, co zachodziło w czyimś umyśle, interesowało ją najbardziej.

Skoro Nin była tak ważną postacią w historii współczesnej literatury, to dlaczego jej rola jest tak pomniejszana?

Pierwszy powód jest oczywisty: z powodu dyskryminacji płci. Powód następny jest również oczywisty: występujący w naszej kulturze zupełnie wyjątkowy strach przed erotyzmem. A trzeci powód jest nie mniej oczywisty: nowatorstwo tego, co pisała (pomieszczenie autobiografii z fikcją literacką). A ponieważ nasz rodzaj obawia się wszelkich nowości tylko dlatego, że nie są tradycyjne, twórczość Nin wprawia w zakłopotanie.

Anaïs Nin jest niezrozumiana również ze względu na kolejność, w jakiej ukazywały się jej prace.

Przez całe lata była pisarką niepublikowaną, o której mówiło się szeptem i plotkował, znaną głównie ze swoich literackich romanów oraz szerokich kontaktów w sferze artystycznej i środowisku psychoanalityków. Kilka powieści, które wydała pod swoim nazwiskiem, napisanych było w eksperymentalnym, zawiłym stylu i opublikowanych przez cenionych awangardowych wydawców. Nawet jej książka o D.H. Lawrensie znana była jedynie wąskiej grupie.

Na początku lat siedemdziesiątych, wraz z odrodzeniem się feminizmu, tak zwanej drugiej fali, Nin zaczęła być publikowana.

a jej książki chciwie czytane, jednak polityka wydawnicza zaciemniła tylko obraz wielkości jej dokonań. Książki zostały oczyszczone z licznych fragmentów, które mogły sprawić przykrość jej mężowi, Hugonowi, oraz niezliczonym rzeszom innych, jeszcze żyjących osób, z którymi bywała związana.

Reputacja Nin miała swoje przypyły i odpływy, niesione przez zmienne fale feminizmu. Jej sława rosła wraz z potężniejącym ruchem o wolność seksualną i przygasła wraz z osłabieniem tego ruchu za czasów Reagana, Thatcher i Busha.

Teraz, w dobie strachu przed AIDS, stopniowo wydawane są nieocenzurowane dzienniki Nin. Tyle że Nin jest już niemodna jako współczesna feministka; coś, wieją inne wiatry historii. Uwodzicielka, ale teraz uwiedzenie kojarzy się z gwałtem; wrażliwa kronikarka uczuć i psychoanalitycznych transformacji w czasach, gdy od pisarek wymaga się jadowitych agitek, które odrzuca Freuda i pozostałych „białych trupów”.

Jej wielkość zostanie odkryta w innych czasach, rządzonych przez innych polityków. Nin jak Colette opowiedziała historię życia kobiety od jej dzieciństwa do starości. Nie popełniła samobójstwa, nawet jako artystka. Była niezmordowana (to niezbędna cecha każdego artysty), zostawiając nam wielkie dzieło, z którego czerpać będą następne pokolenia pisarek. Można ją kochać albo nienawidzić. Każde z tych uczuć przyda nam się w naszej przyszłej twórczości. Ona pozostaje jak opoka, na którą trzeba się wspinać.

Istnieją pewne oznaki, że z końcem wieku jej nowatorstwo stanie się częścią naszej literatury. Tabu związane z kazirodztwem zostało przełamane. Autobiografia i fikcja literacka zostały połączone w jeden gatunek. Kobiety piszące osiągnęły taki stopień niezależności, o jakim wcześniejszym pokoleniom się nie śniło. Ukazują się kolejne tomy nieocenzurowanych dzienników. Spotykają się one z krytyką ze strony tych kobiet, które boją się wolności, oraz ze strony mężczyzn, którzy wolą, by kobiety pozostały takie jak przedtem. Dzienniki zostaną więc dla naszych córek

i wnuczek. Kiedy kobiety jutra dojrzeją, sięgną po Anaïs Nin i ta lektura je odmieni.

Odkryją ją następne pokolenia z tym samym dreszczykiem podniecenia, jakie my odczuwałyśmy, odkrywając Virginie Woolf, Colette, Simone de Beauvoir, Ednę St. Vincent Millay, Jean Rhys, Zorę Neale Hurston, Angelę Carter, Sylvię Plath i Anne Sexton.

A ona doda otuchy i wiary w siebie tym pisarkom, które odczuwają potrzebę uprawomocnienia swoich spraw.

Być może to największy wpływ, jaki pisarka może wywrzeć na przyszłe pokolenia: zainspirować młode praktykantki do terminowania w tym fachu. Będą ją uwielbiały, nienawidziły, rozprawały o niej, interpretowały na nowo. A właściwie dlaczegożby nie? Jest matką. A matka to grunt, z którego startujemy.